

Ceberek, Stanisław

Z życiorysu chłopa - działacza

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 1, 128-138

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z ŻYCIORYSU CHŁOPA — DZIAŁACZA

Ponad czterdzieści lat temu służyłem na robotach przymusowych w byłych Prusach Wschodnich w Kwiatuszku Dużym po niemiecku Gross Blumenau, obecnie gmina Rozogi woj. Ostrołęka, a przedtem powiat Szczytno — woj. Olsztyn. Na samym początku tej wsi stała tablica z nazwą miejscowości, na której dużymi literami było napisane po niemiecku Gross Blumenau, a u dołu poprawnie po polsku Duży Kwiatuśzek. Takie napisy były powszechnie znane na terenach byłych Prus Wschodnich tzn. były pisane w dwóch językach, w polskim i niemieckim, ponieważ większa część ludności nie orientowała się w nazwach niemieckich, a i nie wszyscy język niemiecki znali. W roku 1941 zgodnie z wymogami okupacyjnego prawa niemieckiego, zostałem wyznaczony na przymusowe roboty do Niemiec. Miałem 15 lat, w owym czasie. Jeżeli kto z Polaków wyznaczony na przymusowe roboty znalazł sobie sam pracę i ją podjął na terenie byłej Rzeszy Niemieckiej, a nawet na terenie okupowanej Polski, w jakimś zakładzie kontrolowanym przez Niemców i takową okoliczność miał potwierdzoną na piśmie, wtedy miejscowe władze okupacyjne niemieckie w Polsce uważały zarówno zobowiązanego do pracy, jak również i jego rodzinę, jako ludzi, którzy w jakimś stopniu wykonują zarządzenia okupacyjne i byli traktowani, jako normalna, poddańcza rodzina. Dla mnie moi rodzice w obawie bym nie został wywieziony zbyt daleko w głąb Rzeszy Niemieckiej, postanowili znaleźć miejsce pracy w niezbyt odległej od wsi Wykrot gminie Rozogi. Przetransportowaniem takich ludzi, jak i wyszukaniem dla nich miejsca pracy na terenie Prus Wschodnich trudnił się oprócz innych Kawalków — Józef (prawdziwe nazwisko Kręciewski) z przygranicznej wsi Warmiak. I tak oto wybrałem się w moją pierwszą zagraniczną podróż. Pożegnanie było, jakby pogrzebowe. W domu płakali wszyscy — tatus, mamusia, babcia, dziadek, chociaż ja dziadka i babcię nazywałem ojciec i matka, bo tak na nich mówił tatus i mamusia, to dlatego ja miałem ich nazywać inaczej. Popłakali się chłopaki, nieżyjący już moi bracia Heniek i Józek. Wspólnie podzieliliśmy się i zachowaliśmy należną na każdego ilość kulek tzn. amunicji, jaka pozostała po wojsku polskim. Amunicja ta wg naszych chłopięcych planów miała nam służyć do walki z Niemcami. Z domu dowieźli mnie furmanką do wspomnianej już przygranicznej wsi — Warmiak, a potem nocą z Kawalkowym Józwek przeszliśmy granicę i rano, gdy dniało byliśmy na miejscu we wsi Faryny (faryn po mazursku — cukier). Gospodarstwo było nieduże, około 30 morgów magdeburskich, czyli około 8 ha — 1 koń, parę krów, gospodyni i córeczka w moim wieku sprawowały na tym gospodarstwie władzę. Gospodarz bowiem służył w armii niemieckiej, gdzieś daleko na froncie. W taki oto sposób rozpocząłem moją służbę.

Przyjęto mnie z radością. Gospodyni była ucieszona, jak również i jej córeczka. Dziewczyna ta bez żadnych zleceń wzięła na siebie obowiązek opieki nad mną, zawsze kiedy miała tylko czas pytała, czy coś potrzebuję, czy może czegoś chcę, ale ja nic nie chciałem, płakałem po kątach, brak mi było chłopaków, mego domu, rodziców, czegoś, czego nie mogłem określić. Po spożytym

śniadaniu zaprzęgnęliśmy kobyłę i pojechałem bronować pole pod kartofle. Jak już wspomniałem moja opiekunka co godzinę na pole donosiła mi jedzenie i mówiła, że nie może przynieść mi posiłku jak należy, bo muti poszła do...? że już ma Polaka na służbie, ale obiad będzie na pewno dobry. Było mi tam dobrze i nawet wyglądało na to, że to nie ja służę, a mnie służą. Ale ja chciałem do domu. Czy wszyscy tak, jak ja przeżywają gorzko rozłąkę z domem, rodziną, wsią, kolegami? Nie mogłem tam żyć, gdzie byłem, uciekłem w czwartą noc z tego Faryna. Jak trafiłem do domu w nocy — nie wiem. Przeszedłem las mazurski i granicę mazursko-polską, a na wieczór byłem w domu. Rodzice powitali mnie smutno, ale za to chłopaki bardzo wesoło. Polecieliśmy od razu do Aliza, do Grzesiaka, chłopaki krzyczeli: Stasiak uciekł, nie będzie Niemcom służył, Stasiak będzie się ukrywał — byli ze mnie dumni. A wójt z Rozóg powiadomił niemieckiego wójta w Myszyńcu, że uciekłem i należy mnie odszukać i doprowadzić na moje miejsce przeznaczenia. Na rodziców nałożono karę tzn. w każdą niedzielę rodzice musieli obowiązkowo kopać karpinę w lesie. O wykonanej pracy mieli obowiązek meldować niemieckiemu wójtowi w Myszyńcu, a do Myszyńca od nas prawie 10 km, a tu w domu dzieci, gospodarstwo, kontyngenty, szarwarki, nie mogli zdzierżyć, nie nadażali. Jest w Rozogach, mówią mi miejsce dobre, choć to Niemce, ale ludzie dobrzy, idź, bo te szwaby nas zamordują. Był maj — niedziela, przyjechał po mnie niemiecki żołnierz na rowerze. Pożegnanie było krótkie, prawie bez płaczu, chłopaki byli zawiedzeni. Zgodnie z zarządzeniem niemieckim, jeżeli Polak nie miał zezwolenia na jeżdżenie rowerem, to nie wolno mu na rowerze jeździć, ani z niego korzystać. W dodatku nie godziło się przecież, aby niemiecki gefrajter wioził Polaka na rowerze. Wobec takiego stanu rzeczy Niemiec jechał na rowerze, a ja jak piesek (jak mogłem) leciałem za nim pieszo. Wprawdzie Niemiec jechał wolno, bym zdążył. I tak lecieliśmy. Pierwszy odpoczynek miałem koło Kołodziejów w Wykrocie (dziś jest tam przystanek PKS). Usiedliśmy na rowie przy drodze i odpoczywaliśmy. Potem ten żołnierz wziął ode mnie tobołek, który dała mi moja matka z bielizną, powiesił na rowerze i lecieliśmy dalej. Odpoczęliśmy na Zawodziu, dwa km od Myszyńca. Potem lecieliśmy do Myszyńca. Mój pan poszedł na piwo, potem na chwilę wyszedł z piwiarni i dał mi wypić resztę piwa ze swego kufła. Było gorzkie i niedobre. Potem lecieliśmy dalej, aż do dziarnistej górki, leciałem i popłakiwałem, było mi przykro, a nawet bardzo przykro. Odpoczęliśmy na dziarnistej górcie, wtedy żołnierz popatrzył na mnie i powiedział: „Wziąłbym cię na rower, ale jak nas zobaczy partyjna świnią z SS, to dla mnie tylko spos tzn. wstyd — tak musisz lecieć”. Niech się pan nie boi, powiedziałem mu, ja wytrzymam, ja z chłopakami tak do szkoły 6 km tam i z powrotem latałem. Około południa byliśmy w Rozogach u Pilica. Dziś na tym miejscu stoi tartak. Przywitała nas wielka, gruba, stara i ochydną baba, matka tego żołnierza. Dała mi kawałek chleba z serem żółtym, kazała szybko zjeść i szybko iść do obory równać gnój u krów i robić tak, jak będzie mi kazał Ernst, syn tego żołnierza. Powiedziała mi, że mam się słuchać, robić i nie mądrzyć. Wtedy ten żołnierz się podniósł i powiedział: „Muti, ja tak nie mogę, żebyś ty tak do tego dzieciaka”. Ale ona nie bała się nikogo, ani żołnierza, ani „upi” czyli dziadka, ani synowej, ani Ernsta, była jakaś taka... Jutro żołnierz odjeżdżał gdzieś na front. Płakał żołnierz, płakał „upa”, płakała ta młoda, Ernst nawet i ta stara. Płakaliśmy wszyscy, ja też. Każdy za swoje. A potem jak to na wiosnę w gospodarstwie, całymi dniami woziliśmy obornik na pole, a tak ten gnój ciężko było rwać i kłaść na wóz, że aż coś we łbie trzeszczało. A na noc, ta stara zamykała mnie na klucz

do szpiarni. Było tam pełno mięsa, słoniny, ale nie jadłem, nie miałem apetytu. Tak było dwa tygodnie. Zarówno Ernst, jak i ja nie mieliśmy pojęcia, jak po ten obornik wjechać do obory, jak naładować i jak z nim wyjechać. Zawadziliśmy kłonicą o futrynę drzwiową i nie mogliśmy z obory wyjechać. W obawie, żeby tego naszego niedołęstwa nie zobaczyła ta stara, wycieliśmy z wozu kłonicę siekierą. Ale ta stara i tak nas zobaczyła, uciekliśmy obaj. Był już wieczer. Ernst chyba wrócił do tej starej, a ja rano już byłem w domu. Ernst był to chodzący humor, dobry, nikły, koleżeński chłopak. Polubiłem go, choć prawdę mówiąc „upa” był również uczciwym i dobrym człowiekiem, w dodatku bardzo pracowitym. Jedynym jego zmartwieniem i postrachem było, jak mówił: „Jak umrę, to żebym choć z tą moją starą w jednej celi nie siedział”. Po powrocie do domu, z chłopakami tzn. braćmi zaczęliśmy za borem w ścisłej tajemnicy, w krzakach kopać schron. Mieliliśmy tam umieścić naszą amunicję co się da, by wreszcie zacząć wojnę z Niemcami. Ale po południu był u nas sołtys z Wykrotu — Kołodziej — i powiedział, że niemiecki wójt z Rozóg dzwonił do wójta z Myszynca informując go o mojej ucieczce. Kazał moim rodzicom zameldować się do wójta, do Myszynca, a w niedzielę zgłosić się w lesie do kopania karpiny. Znowu przyszedł do mnie Kawałków Józef, zaprowadził mnie na służbę do Kwiatuszka Dużego, o którym już wspomniałem. Tam służyłem 3,5 roku. U nowego mojego pana Wilhelma Kupicha i jego żony Miny. Mój pan umiał mówić po niemiecku, ponieważ swojego czasu odbył służbę w wojsku niemieckim, natomiast nowa moja gospodyni języka niemieckiego prawie nie знаła. W domu, jak i w całej wsi rozmawiano tylko po polsku. W następnym roku na służbę u mego pana zameldowała się Lisowa Zosia z Niedźwiedzia. Całe te 3,5 roku to systematyczna jakby służba wojskowa, planowo wyliczana praca. Było mi niezłe, ale do domu tęskno było zawsze. Wreszcie mój gospodarz uwierzył w niezwyciężoną armię niemiecką oraz goebelsowską propagandę i w kółko mi bez przerwy tłumaczył, że Deutschland jest duży, że będzie miał cały świat, już ma całą Europę i nikt Niemców nie zwycięży. Wtedy uciekłem na pole, na część zwaną morgiem, gdzie mnie nikt nie słyszał i tam śpiewałem sobie „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Boże coś Polskę”. Płakałem i prosiłem Boga o łaskę dla mnie i mojej Ojczyzny. Ale on był jakby głuchy. Niemcy odnosili sukcesy za sukcesami. Prasa donosiła, że sprzedają bilety do teatrów leningradzkich. Myślałem: „Ten Bóg chyba jest z Niemcami, ale to niemożliwe”. Mój gospodarz powtarzał codziennie: „nie macie Polski i nie będziecie jej mieli”. Powtarzałem przysięgę, że jak tylko będzie Polska, to pójdę do wojska, ubiorę mundur żołnierza polskiego i będę chodził po mojej wsi, niewolniczej wsi Kwiatuszek w polskim mundurze z białym orłem na czapce, niech patrzą, niech widzą, że moja Ojczyzna — Polska nie zginęła. Zrealizowałem tę moją przysięgę w roku 1976, kiedy to jako podleńniczy do spraw turystyki występowałem jako artysta-amator w NRD dla pracujących tam polskich robotników. Po występach ubrałem się w mundur leśniczego, na głowę włożyłem czapkę z białym orłem i tak spacerowałem z moją wolną Ojczyzną — Polską. Jesienią 1944 r. przyszedł po mnie SS-man z pistoletem i zaprowadził mnie na punkt zborny we wsi, gdzie było już wielu Polaków, załadowali nas na furmanki i wywieźli do kopania okopów. Kopaliśmy te okopy dla planowo cofającego się Wehrmachtu. Razem z nami Rosjanie i Francuzi — razem około 4.000 ludzi. Najpierw kopaliśmy koło Sośnia niedaleko Ossowca, a potem koło Białej Piskiej. Pracowaliśmy w różnych warunkach, w piasku, glinie, błocie i w bagnach. Spaliliśmy na gołej ziemi, głodni, przemarznięci, mieliśmy wszy, było nam bardzo ciężko. Uciekłem z dwoma kolegami i znowu wróciłem do do-

mu. Nawet nie zdążyłem się przywitać z domownikami, a już na podwórko wjechały samochody pełne żandarmerii, tzw. feld polizei. Feld policji miała za zadanie oczyszczać teren z partyzanckich oddziałów przed cofającymi się niemieckimi oddziałami frontowymi. Przed odejściem z naszego domu jeden z żandarmów zapytał mnie: „A ty nie byłeś w Niemczech na robotach?” — zdrewniałem, koło domu stały posterunki, psy, pełen dom Niemców.

Myślałem szybko, będzie pytał dalej i to będzie już koniec, zabiją mnie, zabiją ojca, zabiją nas wszystkich — bo tak robili. Co robić? Czekać na tę śmierć czy uciekać? Postanowiłem uciekać. Nie będę widział jak będą strzelali, to lżej się umrze. Niemiec patrzył na mnie i pytał dalej, a dowód masz? Stałem przed oknem i myślałem jak uderzyć, żeby na raz je wyłamać. Byłem już gotów na to, co miało się stać za chwilę. Powiedziałem dość wolno i pewnie — mam panu pokazać? I patrzę temu Niemcowi, tej mojej śmierci prosto w twarz. Niemiec patrzy na mnie i wreszcie mówi: „Kej mos, to nie musis pokazywać? „Odeszli od nas po cichu w nocy zabierając ze sobą podobnych jak ja 12-tu ludzi, których zamordowano w bestialski sposób w piwnicy jednego z domów w Myszyncu. niewiele brakowało, abym podzielił ich los. Jak mi wiadomo o aresztowaniu tych ludzi dowiedziało się miejscowe dowództwo Armii Krajowej i specjalny oddział dywersyjny AK pośpiesznie zorganizowany, biegiem ruszył na przełaj, by uwolnić ich i uratować. Jednak po dojściu do szosy Łomża-Myszyniec okazało się, że przez szosę nie można przejść, gdyż cała była zajęta przez zwarte kolumny wycofujących się Niemców. Kiedy wreszcie ostatnie oddziały odeszły, żołnierze AK dotarli do miejsca, w którym już pomordowano wspomnianych ludzi, podobno drewnianą pałą, jak zwierzęta. A tak blisko wolność tak blisko byli swoi, tak blisko był ratunek, ale śmierć była bliżej. Po żandarmach przyszli saperzy. Rozbrajali miny podłożone pod mosty, drogi, co się dało, co zdążyli. Magazyn min i materiałów wybuchowych mieli u nas w stodole. Kradliśmy z chłopakami, czyli moimi braćmi dynamit, miny, zapalniki, by zwyciężyć Niemców. Ile ludzi mniej zginęło przez naszą kradzież, ile mniej strat, nie wiem. Nie było pożytku w wojnie z tych min, potem rozbrajaliśmy te kradzione miny z opakowań, były z tego miski dla psów, kotów, miary do zboża, a dynamit gotowałem z masłem i robiłem masę na świeżeb, którego było dużo po wojnie. Wyleczyłem setki a może tysiące ludzi, ale to rozbrajanie min przypłacił moi bracia życiem, i nie tylko moi. Swoją śmiercią zwyciężyli przemoc, hańbę, obłudę, kłamstwo — ale tak bywa zawsze. każda przemoc obca czy rodzima — ma te same oblicza — morduje, niszczy, aż się rozłoży i zginie ubroczona krwią miłujących wolność ludzi.

Nie pamiętam, którego stycznia 1945 r. gruchnęła radosna wieść, „Ruskie idą od Łysych”. Nie czekaliśmy aż przyjdą, poleciliśmy naprzeciw, by jak najszybciej ich spotkać. Spotkaliśmy ich w lesie, koło stacji kolejowej w Dębach. Szli w zwartym szeregu. Byli w moim wieku, może 17 lat, byli spoceni, zmęczeni, obładowani i nasza radość nie stała się ich radością. Zapytali tylko, czy daleko do Germanii i nie zatrzymując się nawet, poszli dalej. Przygasła i nasza radość, zrozumieliśmy, my byliśmy wolni, a oni jak długo muszą tak iść, jaki los ich czeka. W niedzielę druga radosna wieść i też z samego rana. W Łysych jest polskie wojsko, poleciliśmy, jak kto mógł, czy kto mógł. Prawda — byli. Stali pod kościołem, było ich dwóch, a zwartą gromadą otaczali ich ludzie i patrzyli, jak na jakiegoś zjawy. Dziwne to było spotkanie. Ludzie niepewnie dotykali mundurów, czapek, całowali ich, płakali, krzyczeli i śmiali się na przemian, jak nie przed kościołem, a potem wszyscy ludzie, żołnierze i my wleliśmy się do koś-

ciola, bo to nie było wchodzenie. Ksiądz zaśpiewał „Ciebie Boga wysławiamy”. zdawało się, że kościół zamienił się w jeden wielki dzwon. Spiewaliśmy tak głośno aż wydawało się, że kościół tej wielkiej radości nie wytrzyma, runie i rozleci się. A organy tak głośno grały, że dwa drewniane aniołki, co siedziały na chórze aż podskakiwały od tego huku czy radości, a może tak się zdawało. O takim dniu trudno jest opowiedzieć, jeszcze trudniej opisać go, to trzeba było przeżyć. Wiosna w 1945 r. przyszła do nas niespodziewanie, a zima, to jakby jej nie było. Powoli oraliśmy w jednego ślepego konia nasze pole, bo drugiego zabrali nam Niemcy. Orka był ciężka, ugór twardy, ażeby należycie głęboko zorać, jedną skibą trzeba było chodzić 2 razy. Pamiętam na tym polu zasieliśmy pszenicę. Jakoś niewiele jej wzeszło, a to co potem urosło, doszczętnie pożarły wróble, nie wróciło się nawet sianie. Było nas trzech, ja, brat Heniek, jakby urodzony rolnik — dziedzic szczególnie lubiany przez ojca i naprawdę zdolny — i uparty Józef. Poszedłem do szkoły ogólnokształcącej w Ostrołęce. Mieszkanie dał mi ksiądz Eugeniusz Kłoskowski — ówczesny proboszcz Ostrołęki, a były ksiądz myszyniecki. Mieszkaliśmy z Władkiem Wielechowskim z Zalesia w celi zamkowej. Jedliśmy to, co księdzu przynieśli. Jak przynieśli chleb, jedliśmy chleb, a jak ser to ser, a jak słoninę to słoninę. A wszystko na raz tylko wtedy, jak nam dowieźli z domu.

13 maja przyjechał do mnie ojciec furmanką do Ostrołęki w tego ślepego konia i powiedział: jedziemy do domu, twoi bracia nie żyją, rozerwał ich pocisk armatni. Trudno byłoby już dziś powiedzieć, jak przeżywa się taką wiadomość taki dzień i następne. Wygląda to, jak uderzenie gromu z jasnego nieba lub uderzenie obuchem w głowę. Dopiero potem powoli zaczyna się odczuwać prawdziwy ból. Ojciec mój był sierotą, matka zmarła jak miał pół roku, ojciec — jak miał rok, bracia i siostry zmarli na gruźlicę. Oprócz nas nie miał na świecie nikogo. Płakaliśmy wtedy całe noce i dni. Zresztą nie tylko my, takich domów było bardzo wiele. Płakaliśmy w dzień i jak się kto obudził w nocy. Najmniej płakał ojciec, mówił trudno, ale widać, że było mu bardzo ciężko. Pewnego rana zaczął nam opowiadać, że śnili mu się chłopaki, że przyszli do domu jak żywi i mówili: „Nie płacz za nas, bo za nas rosną świerki w ogródku, któreśmy posadzili”, dalej nie mógł mówić. Zaczął płakać bardzo mocno z taką żalnością i goryczą, a lzy ciurkiem leciały mu z oczu. Zdawało się, że nie zniesie tego żalu, że nie wytrzyma, że stanie się coś strasznego, aż matka patrząc na niego krzyknęła: „Bolku, mój Boże, nie płacz tak”, ale on płakał coraz mocniej. Pewnie wypłakać chciał cały swój ból, całą dolę sierocą, pewnie płakał za matkę, za ojca, których nie znał i za dzieci, których już nie miał. Płakał za całe swoje ciężkie życie.

W roku 1947 założyłem zespół pieśni i tańca, kółko teatralne, drużynę piłki nożnej i drużynę do gry w siatkówkę. Boiska były na pastwisku, wypchana sianem piłka służyła do gry. Była i grupa trenująca podnoszenie ciężarów, za sztangę służył wóz i każdy napotkany większy kamień.

W roku 1948 ówczesny wójt gminy Myszyńiec — Kulas prosił mnie, abym pojechał wraz z zespołem na święto ludowe do Warszawy. Zwrócił się do mnie, żebym pojechał, gdyż prosił go o to starosta, a nikt nie chciał jechać. Zebraliśmy się i ruszyliśmy w drogę do Warszawy. Po drodze jednak któryś z armii podziemnej powiedział do moich ludzi, że ktokolwiek pojedzie na to święto razem z Ceberkiem, odpowie za to głową. Wobec tego wróciliśmy. Po świętach w Myszyńcu na rynku jakaś kobieta zaszła drogę mojej matce i powiedziała, że za współpracę z komunistami zabiją mnie. Przyszli pewnej nocy, weszli do domu,

kazali nam się z ojcem położyć na brzuchy, przystawili karabiny do tyłu głowy i nie kazali się ruszać. Leżałem i czułem ciężar tej lufy. Zdawało mi się, że nawet bez strzelania sama lufa przejdzie mi przez głowę. Dziwne, wstrętne i ciężkie uczucie. Zabrali nam z domu wszystko, ubranie, obuwie, nakrycia z łóżek, wszystko co było w szafie i w kufrze. Byliśmy prawie nadszy, zostaliśmy z ojcem tylko w koszuli i w kalesonach. Byliśmy nędzarami na swoim 17-to ha gospodarstwie. Potem ludzie dawali nam co kto mógł, jeden buty, drugi marynarkę i ubrali nas, jak mogli. Nikt mi nie wierzył, jedni mówili, trzymam z partyzantami, inni że z UB, a to nie było prawdą. Jeszcze inni mówili: „Jeden Bóg wie”, a to też nie było prawdą, bo wiedziałem jeszcze i ja. O tym napadzie ktoś zameldował do UB, a z tego powodu, że ci złodzieje powiedzieli nam, że jest to kara dla mnie, ale jeżeli nie zamelduję o tej kradzieży to będę żył, w przeciwnym razie zabiją mnie. I tak od tej pory chodziłem ze śmiercią pod rękę, wiedziałem bowiem, że każdy dzień, czy noc może być ostatnia. Potem co którąś noc przychodzili. Raz ci nocni, to znów wojsko. Wiadomo było, że życia w domu nie mam. Uciekłem z domu do Łomży, ukrywałem się i mieszkiałem u ciotki — Wiktorii Deptuły, mieszkającej w Łomży przy ul. 3-go Maja, wraz z matką i synem Mieczysławem. Na wiosnę 1949 r. przyjechał do mnie ojciec i przywiózł mi wezwanie zobowiązujące mnie do stawienia się w RKU w Ostrołęce, abym tam odebrał kartę powołania do wojska. Po kartę zgłosiłem się 3 dni po wyznaczonym terminie. Pojechałem do RKU w Ostrołęce. Przyjął mnie jakiś pan ubrany po cywilnemu, wypytywał mnie o powód spóźnienia, skrzyczał mnie od złodziei i partyzantów, zawołał 2 żołnierzy i kazał odprowadzić do aresztu. Potem jednak się zastanowił i powiedział: „Czort z nim, puście go, tam gdzie idzie nie będzie mu lepiej jak w areszcie”. I tak oto wraz z innymi kolegami znalazłem się w 55 brygadzie „SP”. Ja i moi koledzy, przeważnie synowie kułaków i synowie ludzi niepewnych politycznie, odslużywalismy tam zasadniczą służbę wojskową, kopiąc węgiel tak potrzebny Ojczyźnie. Byłem górnikiem na ścianie węglowej, obsługiwałem dźwig, odbudowywałem chodniki, gasiłem pożar, przeszedłem bardzo wiele odmiennych zajęć w zawodzie górnika, byłem pisarzem kompanijnym, a wreszcie dowódcą plutonu, który liczy prawie 100 ludzi. A było to tak: szukano na dowódcę plutonu w naszej kompanii, ponieważ w owym czasie tak nam mówiono, trudno było do nas przysłać potrzebnej ilości oficerów i podoficerów i wreszcie znaleziono jednego w naszej kompanii, który był dość przystojnym, rozumnym i koleżeńskim żołnierzem, ale po mianowaniu go na stanowisko dowódcy plutonu natychmiast zgłupiał. Był krótko, popełnił naraz 4 przestępstwa: schlał się jak świnia, zjadł pół wiadra marmolady, która była własnością całego plutonu, zarzygał cały korytarz i zbił kaprala. Zwolnili go z miejsca. Stanowisko to zaoferowano mnie. Ofiarującym był zastępca dowódcy batalionu ds. politycznych. Zapoznaliśmy się podczas prasówki, a właściwie podczas kłótni. Zaprotestowałem, kiedy powiedział do nas wszystkich: „Polska Ludowa jest Ojczyzną wszystkich Polaków, władza w tym kraju należy do ludu, a rządzi partia według wypracowanej przez swoich członków linii dla dobra narodu i Ojczyzny. Rządzi i będzie rządzić, czy to się komu podoba, czy nie”. Wtedy podniosłem się i powiedziałem: „co, ja mam mniejsze prawo, jak wy instruktorze, co, ja swoją część Ojczyzny oddałem, sprzedałem, czy podarowałem? Ja się swoich praw do tej Ojczyzny, mojej Polski nie wyzbyłem, ja za nią jak i inni też cierpiałem i dlatego mam równe prawo do współdecydowania o niej, a w dodatku ja partii na swoją władzę nie wybierałem”. Popatrzył na mnie i powiedział: „proszę przyjsć do mnie po capstrzyku”. Może powiedziałem

tam coś i więcej. Poszedłem, wróciłem rano. Przedyskutowaliśmy całą noc. Każdy bronił swojej linii w sposób tolerancyjny. Potem dyskutowaliśmy bardzo często i długo. Dołączali się do nas i inni, ale nikt nikomu z tego powodu nie czynił żadnych wymówek i nie zdradzał treści naszych rozmów. Pomimo że miałem wiele odmiennych poglądów od mego dowódcy, byliśmy jednak przyjaciółmi. Był dobrym dowódcą, uczciwym i szlachetnym komunistą. Nie mogłem jednak zostać dowódcą plutonu, ponieważ byłem synem kułaka, czyli wrogiem Polski Ludowej. Poszliśmy wtedy do mego kolegi pisarza brygady i tenże otworzył w tajemnicy sejf, wyjął stamtąd teczkę i moje dokumenty i na miejscu, gdzie było napisane 17 ha, napisał 8 ha. Od tej pory byłem synem średniorolnego chłopca i wszystkie stanowiska w 55 Brygadzie „SP” stały przede mną otworem. Pisarz Brygady był żołnierzem Szarych Szeregów — w czasie Powstania Warszawskiego — a ojciec żołnierzem Armii Krajowej, który po wojnie się nie ujawnił. Zajmował się po wojnie malowaniem na chodnikach warszawskich ha-seł o różnej treści m. in. AK żyje. Przyłapano go kiedyś przy tej robocie, za-aresztowano, a syna skierowano do kopalni węgla. Potem założyliśmy w kompanii ZMP. Chętnych było niewielu. Pierwszych, którzy zapisali się — przez dwie niedziele wysyłano na spotkanie z młodzieżą katowickiego ZMP. Były to miłe spotkania przy muzyce, herbacie i tańcu z ładnymi dziewczynami.

Po powrocie podzieliliśmy się wrażeniami z wszystkimi chłopakami z kompanii i w niedługim czasie 100% naszej kompanii należało do ZMP. Jakoś od tej pory nikt nas więcej na żadne spotkania nie prosił, a obowiązków przybywało. Chłopaki zaczęli oddawać legitymacje i o mało że nie dostałem koca za przysługę, jaką im zgotowałem. Potem zaczęto nas oduczać od modlitwy. Był u nas, jak i w całym wojsku polskim w owym czasie zwyczaj, że po odczytaniu rozkazu wieczornego, padało słowo spocznij, a potem drugi rozkaz — do modlitwy i śpiewaliśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy” — jedną zwrotkę. Zastępca dowódcy d.s. politycznych zaczął nam tłumaczyć, tłumaczyć, że my w pewnym sensie jesteśmy niedemokratyczni i może w pewnym sensie zmuszamy do modlitwy tych, co nie wierzą, ale wstydzą się przyznać, bo jest ich mało, a może jest tylko jeden, ale nawet jeżeli jest jeden, to jego wolność sumienia należy uszanować. Wobec tego wprowadza się w całej brygadzie małą zmianę, a mianowicie po odczytaniu rozkazu będzie spocznij i rozejść się do miejsc zakwaterowania. Dopiero potem będzie hasło, zbiórka do modlitwy i wtedy, kto będzie chciał to wyjdzie, a kto nie, to nie. I tak było. Tylko, że zawsze ci co wyszli do modlitwy popełniali jakieś przestępstwo niezgodne z regulaminem, za co oczywiście zgodnie z tymże regulaminem byli przykładnie karani. Chętnych do modlitwy było coraz mniej, aż wreszcie w ogóle ich zabrakło. Po miesiącu nie było chętnych do modlitwy, wtedy to modlitwy zaniechano. Zastępca dowódcy brygady d.s. politycznych wyjaśnił nam, że sprawiedliwości stało się zadość, gdyż nie tylko maltretowaliśmy swoich kolegów, ale jednocześnie znęcaliśmy się sami nad sobą. Dużo moich kolegów w brygadzie nie umiało czytać i pisać. Dla nich to właśnie założono szkołę i wszyscy nauczyli się czytać i pisać, zresztą nie tylko w brygadzie, ale w całej Polsce. Był to wielki i piękny dar władzy ludowej dla tego umęczonego i ogłupionego przez wiele narodów naszego kraju. Potem strajkowaliśmy z tego powodu, że pracowaliśmy bez przerwy na okrągło w dni powszednie i w niedziele. Strajkowało około 1.000 ludzi. Przyjechali do nas ludzie, którzy tłumaczyli, że jesteśmy w błędzie, że ktoś tu robi wrogą robotę, przyjechało ich dużo, było więcej niż nas. Strajk się skończył, ale skończyła się i praca w niedziele.

Po powrocie z „SP” na wiosnę 1950 r. znowu orałem, siałem i uprawiałem rolę na gospodarstwie ojca. Praca była trudna i ciężka, bez maszyn i narzędzi. Konia nadal mieliśmy jednego. Polepszyło się jednak trochę bo wuj mieszkający niedaleko nas kupił konia, a my kupiliśmy kosiarkę. Sprzęgaliśmy wtedy te konie i wszystkie prace ciężkie robiliśmy już we dwa konie. Wuj mój mieszkał we wsi Dęby (nie jak to się mówi opodal drogi, przy drodze, on mieszkał na drodze). Miał bardzo dużo fachów, nawet nie wiem ile: muzykant, szewc, kowal, mechanik, bednarz, stolarz, pszczelarz i Bóg wie kto jeszcze. W dowodzie pisało rolnik. Każdy wtedy, kto szedł drogą zachodził do domu lub kuźni, bo zelówka odpadła, bo wóz się zepsuł, motor nie chodzi i tak bez przerwy. Szli ci interesanci w piątek i świątek do chałupy, do kuźni, do warsztatu, na podwórko, śmiecili, brudzili, zostawiali zużyte części i nieczystości i odchodzili. Jedni płacili a drudzy mówili tylko: Bóg zapłać. Być gospodarzem w takim domu, być gospodynią w takim domu, zrobić swoją robotę, pomóc innym i zamieść cudze śmieci, a tak wielu własnych śmieci sprzątać nie chce, albo nie może. Zdarzało się, że w wigilię Bożego Narodzenia ludzie palili już świeczki na choinkach i sztuczne ognie, a on kuł, a spod młota leciały w niebo kowalskie fajerwerki. Bo znowu się komuś coś zepsuło po drodze, a on jechał do domu i też chce zdążyć na wigilię. Czasem dzwoniły dzwony na rezurekcję, ludzie śpiewali już „Alleluja”, a mój wuj dzwonił młotem w kowadło, bo ktoś prosił: „pomóż, bo nie zdążę, nie dojadę”. Idąc jeść do chałupy, brał ze sobą zwykle tych, co byli w warsztacie i choć kuchnia była niewielka i stół nieduży, a rodzina duża, zawsze kawałek miejsca przy stole dla gościa się znalazł. Jeżeli w trakcie jedzenia ktoś doszedł, wtedy mówił do tych co siedzieli: „ty się trochę posuń, ty siądź bokiem a ty tu siadaj, popatrz ile tu miejsca”. Taki mały stół, a tak dużo ludzi mogło przy nim biesiadować. Wiedzieć trzeba, że z powodu małego pomieszczenia kuchennego, stół stał jednym bokiem przysunięty do ściany. Gdyby go tak odsunąć od ściany, ile tam jeszcze miejsca było.

Powoli otrząsnąwszy się z tragedii rodzinnej, po wrażeniach w „SP”, zacząłem znowu organizować swoich kolegów do amatorskiego zespołu „Pieśni i Tańca”. Graliśmy różne sztuki, pisane dla małych zespołów amatorskich, szopki, to co było można, przy naszej prostocie i miejscu, w którym to czyniliśmy. Wreszcie znalazłem nieco czasu i ożeniłem się. Weselę było trochę z bójką, jak każe obyczaj, po ludowemu, jak każe tradycja. A dzieci rodziły się kiedy popadło.

Potem byłem przewodniczącym GRN przez 11 lat i połem na Sejm PRL — 6 lat.

Przez parę lat zespołem Pieśni i Tańca „Kurpie Leśne”, a przedtem zespołem „Borowina” kierował sekretarz GRN Wykrot i mój kolega — Władysław Nixsa. Robił to dobrze i przyczynił się do rozświetlenia tego zespołu zarówno w kraju, jak i za granicą. Byłem wiceprzewodniczącym Sejmowej Komisji Komunikacji i Łączności, społecznym redaktorem czasopisma Rady Państwa „Rada Narodowa”, założyłem osobiście 7 Kółek Rolniczych, działałem w GS „SCH” i we wszystkich organizacjach społecznych, jakie istniały na terenie mojej wsi. Jeździłem po spotkaniach, zebraniach, kontrolach. Zwykle w terenie starałem się bronić rządu i w miarę możliwości gasiłem rozpalone umysły, natomiast w Sejmie tak, jak rozumiałem i umiałem broniłem spraw społecznych. Budowałem w czynach społecznych szkołę, dom kultury, sklepy, co było można. Matka mówiła, „głupi jesteś, buduj sobie, nikt ci za to nie podziękuje”. Chyba miała rację. Sprawy moich wyborców bezpośrednio prznosiłem do najwyższych władz PRL

łącznie z I sekretarzem, Marszałkiem Sejmu, premierem i ministrami. Mówili: „uparty i trudno z nim dyskutować”.

Pobudowałem nowoczesną oborę, starałem się wprowadzić nowoczesne metody gospodarowania u siebie w domu, na gospodarstwie i u tych, co chcieli robić.

Ojczyzna ukoronowała mnie różnymi odznaczeniami, może i nie na wszystkie zasłużyłem. Aż wreszcie przyszedł rok 1970, zapaliło się Wybrzeże, w kraju i w Sejmie wrzało. Posłowie terenowi, a m. in. i ja domagaliśmy się pełnej informacji, ale informacji prawie nie było. Postanowiono rozwiązać Parlament. Byłem jedynym posłem wtedy, który się tej decyzji sprzeciwił. Nie dlatego, że chciałem być jeszcze posłem, ale dlatego, że nie uważałem, iż winnym jest tylko Sejm. Koledzy żartowali — „Ceberek pomyliły ci się ręce” W klubie poselskim ZSL wygłosiłem ostre przemówienie. Całą noc potem pukali do mego pokoju znajomi i nieznajomi i mówili: „Tu mieszka sumienie Sejmu PRL”. Jak dziwni są ci ludzie, co innego mówią na sali sejmowej, co innego w domu, na spotkaniu, co innego myślą, a co innego czują. Drżą o własną skórę i koryto, boją się nawet, by przez własny najmniejszy nietakt nie stracili tego, co mają. Natychmiast po wypadkach na Wybrzeżu pojechałem do Gdańska, by na miejscu przekonać się, jak wygląda sytuacja. Byłem w stoczni, w warsztatach, nabrzeżach, dzwigniach. Widziałem ślady kul, krwi, czułem, że i moje ręce w pewnym stopniu zbrukane są robotniczą krwią. W jednym miejscu oprowadzający kolega przedstawił mnie swoim kolegom i powiedział: „mój kolega poseł Ceberek”. Wtedy jeden z nich podszedł do mnie i powiedział: „Czegoś tu skurwysyńska świnió teraz przyjechał, a coś ty dotąd robił?” Szybko oddalił się i odszedł. Było mi przykro i wstyd.

Wróciłem do Sejmu, zażądałem od Marszałka Sejmu pełnej informacji i działania, które by nie dopuściło do dalszego rozlewu krwi. Wtedy Marszałek Wycech odpowiedział: działania zabezpieczające spokój już podjęto, a jeżeli chcesz być doinformowany, słuchaj radia i czytaj gazety. Podziękowałem koledze Marszałkowi i powiedziałem „Ja już wiem prawie wszystko, byłem na miejscu w Gdańsku, widzę jednak, że to kolega Marszałek jest niedoinformowany, dlatego radzę zamiast tu w Sejmie tracić czas na jałowe dyskusje, jechać do Gdańska i tam przedłożyć swoje racje”. Niedługo potem w prywatnej rozmowie, Marszałek mniej więcej powiedział mi tak: „Wielu ludzi w czasach trudnych i ciężkich traci głowę, tak jest i z tobą, jesteś dobry chłop, ale zadania cię przerosły”. Być może.

I tak oto znowu stałem się normalnym człowiekiem, siałem, orałem, gdzie tylko mogłem, działałem i jak mogłem pracowałem, ale czy to wszystko robiłem tak jak powinienem? Dalej prowadziłem oprócz tego zespół, tańczyłem i bawiłem ludzi do łez, jak mogłem. Ale gwiazda moja była już błędsza. Być może, że zawsze tak, jak w brygadzie „SP” myślałem, czyniłem tak, jak uważałem za słuszne. I tak znowu przy ciągłej bieżącej w domu, pracach społecznych, rodzinnych i politycznych doczekałem się roku 1980.

Burza to rzecz straszna i groźna, ale gdyby ich nie było, to morza i oceany zamieniłyby się w wielkie śmierdzące bajora. To w czasie burz wydostają się na powierzchnię wody, rzeczy dawno zagubione lub te, co były na powierzchni, poszły na dno. I tak oto burza dziejowa odkryła potrzebę odrodzenia ZMW. Byłem za tym całą duszą i sercem. Pomagałem, organizowałem koła, zebrania, pogadanki. Wiem, że bez tej organizacji wieś jest martwa, nijaka. Narodziła się „Solidarność” — byłem za. Wstąpiłem do „Solidarności” i też mówiłem to, co

czułem. Nic nie rozważałem. Dowodami na to są moje artykuły pisane do gazet w tym czasie, choć nie drukowane. Wiedziałem, że potrzebne są reformy na skalę całego kraju. Krzykacze w „Solidarności” nastawiani przez wrogich dla mnie i dla „Solidarności” ludzi, krzyczeli: „to zdrajca, to świnia” i wiele innych obelg, co do których nie mogłem się przyznać. Nie zrobiłem nic takiego w stosunkach społecznych, bym musiał się wstydzić Boga, ludzi czy Ojczyzny. Wiedziałem, że w „Solidarności” dzieje się coś złego, że w jej szeregach dostało się wielu ludzi, którym ani dobro Obywateli, ani kraju, ani Solidarności nie było na myśli. Proponowano mi przewodniczącego „Solidarności” w gminie, w województwie. Powiedziałem — nie. Muszę być w Zarządzie Krajowym, miałem nawet na to zapewnienie. Wiedziałem, że tam należy przede wszystkim uporządkować to chaotyczne działanie. Chciałem tam dojść, by od góry zacząć wyzywać się ludzi, którzy krzyczą najgłośniej na władzę, na partię, którzy wprowadzali do zdrowego organizmu „Solidarności” rozkład, stosując perfidne i wyrafinowane kłamstwa. Cel — obrzydzić, zniesławić w oczach społeczeństwa, ten nowy potężny ruch. Niestety nie zmieniło to woli narodu. Powoli, z trudem działalność „Solidarności” zaczęła się klarować i porządkować. Proces ten miał pewną szansę realizacji woli większej części narodu polskiego. Chociaż wiem, że i w tym ruchu było wielu dwulicowców, jak w wielu innych organizacjach. Żona w „Solidarności”, mąż w branżowych. Uważali, patrzyli, często szpiclowali w obydwie strony, mieli po dwie dusze, nie o Ojczyznę chodziło tym ludziom, a o własny interes. Wielu siedziało cicho — nigdzie, oni w swoim cwaniactwie wiedzieli, ktokolwiek zwycięży będzie nam łaskawy — my spokojni, mamy czas. Gdyby tak wszyscy w czasie okupacji robili, orano by w nas jak w zwierzęta. Takim zawsze dobrze. Najgorzej jest tym, co mają „jedną duszę”, jak pisał chłopski działacz — Jakub Bojko: „tę co im Pan Bóg dał”. Nie mogą oni się bałwochwalczo kłaniać, ani według potrzeb kłamać. To oni płacą za dwulicowców, za cwaniaków, za błędy innych. Płacą oni i ich rodziny. W każdej wojnie jest zwycięzca i ten, kto poniósł klęskę, a ktoś powiedział: „Zwycięstwo ma wielu ojców, klęska jest sierotą”. Ale w tej batalii ostatniej, chociaż zwycięstwo ma swoich ojców, klęska nie jest sierotą. 13 grudnia 1981 r. zakończył się ten rozdział historii.

Wygłosiłem wiele przemówień o różnej treści, nieprzychylniej dla władz i dla jej organów, ale nie mogłem inaczej. Tyle razy traktowano mnie niesprawiedliwie i dlatego może, nie mogę pogodzić się nigdy z niesprawiedliwością. Wiem, że nie tylko ja mam rację, ale wiem, że potrzebny jest dialog, tolerancja i w pełnym tego słowa znaczeniu, wzajemne poszanowanie. Teraz wielu uważa mnie za wichryciela, a nawet posądzają mnie o bardzo brzydkie rzeczy np. zdrada interesów państwa i to nie tylko mnie, ale i moje dzieci i moich sympatyków.

Tak oto po krótko można byłoby w wielkiej niedoskonałości i brakach przedstawić mój ponad czterdziestoletni życiorys chłopa-działacza, który jak wielu działaczy w tym kraju za swoją pracę ma taką jak ja zapłatę. Ale nic nowego na świecie się nigdy nie dzieje, wiadomo, chrześcijanin palił kiedyś czarownicę i uczonych, bo nie realizowali jego polityki. Neron podpalił Rzym, by mieć pretekst do wymordowania chrześcijan, a krzyż — symbol hańby — stał się znakiem chwały.

Tak mija i odchodzi czas, życie. Wszystko mija, odchodzi bez przerwy w bezkres, bezmiar. Odchodzi wiele nie zauważonych czasem rzeczy lub zdarzeń. Odchodzą zdawałoby się układy trwałe. Władza. Władza wybrana przez społec-

czeństwo. Odchodzi, oddala się od swoich wyborców, ich woli i potrzeb. Choć oni, wyborcy wołają, krzyczą — nie słyszy. Powiadają — patrzcie — nie widzi, mówią zrozumcie — nie czuje. Zgodnie z tym, co powiedział Chrystus: „mają oczy, a nie widzą, mają uszy a nie słyszą, mają serca, a nie czują”.

— Tak odszedł mój ojciec. Osunął się lekko i padł na łacie. Odszedł. Śmierć przyszła, jak złodziej, wtedy kiedy mnie nie było. Chytra, bezwzględna, okrutna. Bo gdybym był wtedy w domu, to bym go bronił, nie dał, to bym tę śmierć... Była przy nim matka i pani Pluszczyńska z Łodzi. Ojciec powiedział: „tak mnie boli w piersiach, tak mi słabo”. I wtedy właśnie podobno pani Janina powiedziała: „panie Bolesławie mnie też tak raz bolało, ale potem szybko przeszło i panu zaraz będzie dobrze. Niech pan będzie dobrej myśli” i uśmiechała się do niego, a ojciec uśmiechnął się do niej. Uśmiech ten na jego twarzy pozostał na wieki. Bóg ci zapłać dobra kobieto, żeś w ostatniej chwili życia mego ojca pocieszyła go, wsparła.

Aż trudno uwierzyć, że w takim wielkim mieście, w takim hałasie, w mrocznych murach mogą żyć tak dobrzy ludzie. Tak miłe, urocze, wspaniałe kobiety.

Podobnie odchodzi każdy pojedynczy człowiek. Bo w życiu jest tak, że ledwo przyjdiesz, a już odchodzisz. Ledwo się urodzisz, a już powoli się oddalasz. Jesteś jakby coraz dalej. Tak daleko, że wiele rzeczy niedosłyszysz i niedowidzisz. Jeszcze znajomi pytają: „Gdzie on jest?” A jego już nie ma. Jak to przecież był... Tak, ale odszedł... Ale on mówił... Tak, ale stało się inaczej. Jeszcze słychać jego kroki, a on już odszedł, już jest na miejscu i mówi: „Oto jestem Panie... Wiem, Kim tam byłeś...? Ja panie byłem człowiekiem... Wiem, ale jakim? Kim byłeś? Judaszem, Herodem, Kainem, Franciszkiem z Asyżu. Prześladowcą czy prześladowanym?

Mordercą czy...

Ja byłem Panie...

I takim już będziesz na wieki.

Dlatego tak ważne jest, kim jestem teraz.